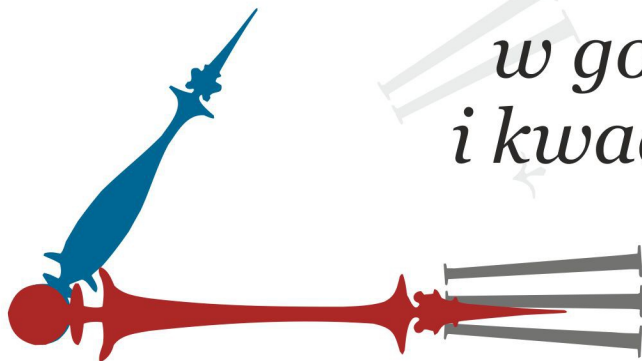


XVII

dramaty
Jerzego

Szaniawskiego

*w godzinę
i kwadrans*



Robert
Żebrowski

III

rysunki
Błażej Małczyński

ŻEGLARZ

Niedawno wróciłem do miasteczka, gdzie się urodziłem. Mała nadmorska miejscina z wielkim, zaniedbanym dzisiaj portem, który w latach mojej młodości przysparzał jej dumy, powitała mnie chłodną, pogodną jesienią. Nie znam tu już nikogo, i nikt nie zna siedemdziesięcioletniego starca, któremu u schyłku życia zachciało się wskrzeszać przeszłość. Wieczorami siadam pod pomnikiem Żeglarsza, wielką rzeźbą z piaskowca, pooraną zmarszczkami od słonego, wilgotnego wiatru. Siadam na stopniu cokołu odwrócony do niego plecami i oparty o stabilny kamień myślę o tym, na czym bym się wsparł, gdyby go nie było. A przecież mogłoby nie być tu ani tego kamienia, ani tego żeglarsza z piaskowca, ani całego skweru otaczającego monument; i wszystko to zależało wtedy ode mnie, od mojej decyzji, od mojej woli – od fanaberii dwudziestopięciolatka, który posiadał wiedzę niedostępną wówczas innym. Z całego tego zamieszania, jakie powstało wtedy wokół mojej osoby, pamiętam kilka faktów; lubię fakty. Wszak jestem emerytowanym historykiem, więc tylko one mi pozostały.

Żeglarsz, uwieczniony dziś na pomniku, od zawsze mnie niepokoił. Skończywszy historyczne studia postanowiłem więc sprawdzić, czy rzeczywiście jest, jak wieść miejska niosła, bohaterem godnym wierszy i piosenek, jakie o nim w knajpie „Pod witrażami” śpiewano. Dość długo jeździłem i pływałem po okolicy bliższej i dalszej szukając śladów legendarnego kapitana Nuta, co to ponoć w młodym wieku podczas morskiej bitwy zginął tragicznie na płonącym posterunku swojego okrętu, z rozwianym włosom złorzecząc najeźdźcom i kpiąc ze śmierci. Śladów nie było wiele – ale za to były porażające. Kiedy wróciłem do miasteczka ze zbiorem dokumentów i materiałów dotyczących kapitana, zastałem w domu

mojej narzeczonej, Med, zjawisko przedziwne; jej brat, rzeźbiarz z zawodu i zamiłowania, skonstruował w swej pracowni model pomnika kapitana Nuta, a ja, stojąc w jej progu, zdorożony długim powrotem, dzierżąc pod pachą potężną tekę z dokumentami, poczułem na sobie zaskoczony nieco spojrzenia członków jakiegoś komitetu, który u brata Med pomnik ten zamówił.

To już nie były ludowe piosneczki; to był pan rektor, pan admirał, miejscy notable – wszyscy ogarnięci ideą uhonorowania kapitana wielkim pomnikiem na centralnym skwerze miasta. Nie pamiętam, kto zaczął, należałoby więc powiedzieć, że zaczęła się dyskusja.

Towarzysze z komitetu zapoznali mnie ze stworzoną przez rektora, wydaną pięknie, oficjalną biografią Nuta. Pokazywali i czytali – a ja protestowałem. Nie mogłem inaczej, bo wszystkie zebrane przeze mnie dokumenty świadczyły przeciwko ich przedczesnym tezom. Nut nie był potężnym, wyniosłym, dumnym młodzieńcem o orlim nosie, lecz baryłkowatym grubaskiem poruszającym się na krzywych nieco nogach i wyposażonym w nos raczej kartoflany. Nie pijał zdrowotnych herbatek, bo od rana sączył mocniejsze i słabsze alkohole. Nie napisał serii romantycznych listów do wytwornej damy, a pozostał po nim jedyny list do konkubiny, w którym delikatnością i romantycznością raczej się nie wykazał. Wreszcie – co najbardziej poruszyło moich interlokutorów – nie zginął wcale w jakiejś bitwie morskiej, lecz uciekł w ratunkowej szlupie z marynarzem Falą z okrętu podpalonego przypadkiem przez pijanego majtkę.

Postawiłem kropkę nad „i” moich wywodów zapraszając przed oblicze komitetu owego marynarza Falę, żeby zeznał, jak było. Komitet obrażony wyszedł, a ja nabrałem przekonania, że muszę o swoich odkryciach poinformować miasteczko, zanim wystawi pomnik niedoszłemu „bohaterowi”.

Jakże bardzo chciałem to zrobić! Wyobraźcie sobie świeżo upieczonego historyka, który odkrywa taką prawdę! Owszem, chciałem – ale jak? Jak przekonać tych, co od lat piosenki o Nucie śpiewali przy kielichu i cieszyli się wspólną dla wszystkich sławą naszego ziomka? Walczyły we mnie różne koncepty dotarcia do szerszych

kręgów, do prostej publiczności, ścierały się w mojej głowie przeróżne pomysły. Med, moja narzeczona, usiłowała mnie wspierać, ale wyczułem, że i ona nie jest przekonana do konceptu zdemaskowania Nuta.

Wtedy pojawił się lokalny wydawca, prawdziwy as księgarskiego rynku. Zaproponowałem mu wydanie moich historycznych ustaleń w atrakcyjnej publikacji, więc obiecał rozeznąć się, czy jest to możliwe. Rozeznał się i przyszedł narzekając na rosnące ceny papieru, rosnące pensje drukarzy i podobne obiektywne przeciwności losu. Mimo to chciał mi wręczyć zaliczkę i skłonić do podpisania umowy – ale nie zgodziłem się. To nie był wtedy partner dla mnie, młodego gniewnego. Ja mu proponuję prawdę w miejsce powszechnych urojeń – a on mi tu o chłopcach zamiatających drukarnię, którzy domagają się podwyżki. Kiedy ja zrezygnowałem z publikacji – on z kolei nalegał. Widać zwęszył w tym jakiś większy interes, szczególnie w kontekście planowanego odsłonięcia pomnika. Ostatecznie wyrzuciłem go za drzwi z jego buchalterią i kalkulacjami. Prawda miała się bronić sama, a nie poprzez interesy.

Rozważałem jeszcze inne możliwości dotarcia do ogółu ze swoimi odkryciami na temat kapitana – gdy nagle, niespodziewanie, tajemniczo nawet – pojawił się on sam, Nut. Kiedy mnie odwiedził w moim mieszkaniu upstrzonym starymi książkami i wschodnimi makatami, był już starcem. Jeśli prawdą jest, że miał polec na morzu w wieku dwudziestu pięciu lat, a pomnik fundowano na 50. rocznicę tego wydarzenia – zaiste nie był już młody.

Ucieszyłem się oczywiście, że samymi odwiedzinami potwierdził moją główną hipotezę. Ale dał mi też powody do zawodowego zwątpienia. Jak mogłem poświęcić półtora roku na szukanie śladów po Nucie, a jego samego nie znaleźć, a nawet nie ustalić, że jeszcze żyje? Nie to pytanie poraziło mnie jednak najmocniej: oto okazało się, że legendarny kapitan Nut, obecnie Paweł Szmidt, jest moim dziadkiem, a ta nieszczęsna konkubina, której groził w liście obietnicą, jeśli go zdradzi, to moja babcia. Nie mogłem mieć wątpliwości, że mówi prawdę. Opowiadał historie domowych pamiątek tak, jakby to on je gromadził. Brał w ręce muszle, modele statków, ele-

menty ekwipunku ożywiając je z autentycznym przejęciem i szczerością. Dziurawe opowieści mojej matki znalazły wreszcie uzupełnienie. Szmidt pragnął, abym prawdy o nim nie ujawniał.

Mimo to nie ustąpiłem. Napięcie domagające się ujawnienia prawdy drgało we mnie jak napięta struna i wydawało mi się, że struna ta wytwarza tony najwyższe, najokazalsze, niewątpliwe.

Nut, a właściwie, na jego własne życzenie – Paweł Szmidt – próbował mnie przekupić. Kiedyś, za młodu, odkrył niewielką wysepkę, nie wpisaną jeszcze na mapy świata. Duże mocarstwo, dowiedziawszy się o jego odkryciu, odkupiło ją od niego, oferując w zamian teren lądowy w mało zaludnionym obszarze. Zgodził się, bo na samotnej wyspie i tak by nic nie zyskał. Meandry historii są jednak nieodgadnione i ten wówczas niemrawy region stał się dziś metropolią, do której gruntów on, Nut, a dziś ja, jego spadkobierca, mamy niezaprzeczalne prawa.

Nie dociekałem wtedy jego motywacji. Dlaczego on, któremu przecież było i tak wszystko jedno, upierał się przy tym, żeby jego poprzednia tożsamość, przeniesiona ze świata legendy do krainy umarłych, nadal legendarnie kwitła? On, racjonalista i materialista, wyzbyty wszelkich złudzeń, mistrz życiowych uników i sprytnych wolt – nagle bronił racji wątpliwych moralnie lokalnych notabli w ich tęsknocie za przekuciem w piaskowiec kilku folklorystycznych piosenek.

Nie uległem. Niczego od niego nie chciałem i nic mu nie obiecałem. Zdawało mi się, że wiem, czemu to ma służyć. Być może lepiej wiedziała to Med, mocno wzruszona, kiedy dowiedziała się o całej historii. Zaskoczyła mnie wtedy bardziej chyba niż to, że odnalazłem swojego dziadka. Wyobraźcie sobie radość młodej kobiety z tego, że jej narzeczony odrzuca potężny spadek! No cóż, byliśmy młodzi.

Drobnego przekupstwa próbował też rektor, mój dawny nauczyciel, oferując mi w zamian za milczenie o moich odkryciach posadę w akademii i wyprodukowanie podręcznika dla młodzieży, w którym Nut zyskałby niezасłużony blask autentycznego bohatera.

Wyśmiałem jego uzurpację. Dziś, z dystansu tych wszystkich lat, widzę, że zasłużyłem wówczas na przydomek nieprzekupnego.

Nieprzekupny dobrze się sprzedaje szerokiej publiczności, bez trudu zatem nawiązałem przyjazne kontakty ze studentami naszej akademii. Młodzi zapaleńcy w czarnych beretach postanowili wspomóc mnie w realizacji karkołomnego, ale realistycznego planu. Feta na odsłonięcie pomnika została już oficjalnie ogłoszona, jej program podano tłumowi na plakatach, ustawiono na „skwerze Nuta” morskie i ideowo poprawne ekspozycje. Wiadomo też było, jaki będzie porządek wystąpień na wiecowej trybunie. Moi sprzymierzeńcy w obronie prawdy, studenci, mieli ustawić się tuż przy niej, a kiedy oficjele skończą bałwochwalcze tyrady, umożliwić mi dotarcie do mównicy i publiczne zaprezentowanie mojego zdania odrębnego. Sprezentować miastu taki szok w takiej chwili – to był nasz plan.

Przyszedł wreszcie ten dzień, dzień odsłonięcia pomnika Żeglarsza. Spędziłem sporą jego część w knajpie „Pod witrażami” - u Doktorowej, prężnej karczmarki osieroconej niedawno przez znanego miejskiego lekarza. Z okien przybytku widziało się doskonale skwer z zastąpionym jeszcze pomnikiem. Nie musiałem nawet podchodzić do okna, bo przyssane do szyb dwie młode kelnerki – Felcia i Iza – na bieżąco zdawały sprawę z rozwoju wydarzeń. Napływały tłumy gapiów, dla których przewidziano boczne sektory. W te centralne wpasowało się niebawem wojsko w przepisowym szyku, policja w białych rękawiczkach i policyjni konfidenci po cywilu, cechy ze sztandarami, uczniowie pod czujnym okiem opiekunów, marynarze w białych mundurach, miejscy radni i reszta elity.

Knajpa jest nieocenionym źródłem wiedzy. Tu właśnie podczas miejskiej fety dowiedziałem się, że marynarz Fala, przekupiony przez komitet budowy pomnika, ma na żywo świadczyć o zmyślonej śmierci Nuta. Tu pojawił się wynajęty kapelmistrz, aby domagać się natychmiastowej zapłaty dla swojego dętego zespołu, ten bowiem odmówił wydawania dźwięków bez wydania mu gotówki. Kiedy kapelmistrz stał na środku restauracji, a groźba przeprowadzenia imprezy w niedopuszczalnej ciszy zawisła realnie nad

wszystkimi obecnymi – pierwszy rzuciłem mu kilka banknotów, za mną poszli inni – i w końcu orkiestra zagrała.

Każdy z prominentów zaglądał do Doktorowej, aby odświeżyć gardło surowym jajkiem lub kieliszkiem koniaku przed ważnym wystąpieniem wobec zebranego tłumu. Zjrzał tu też brat Med, rzeźbiarz, któremu wręczyłem kopertę zawierającą zrzeczenie się przeze mnie spadku po Nucie; nie wiedziałem, jak cała impreza się zakończy i wolałem uporządkować po swojej myśli to, na co miałem wpływ.

Pojawił się też „Pod witrażami” sam Paweł Szmidt. Rozmawialiśmy. Nie pamiętam już dziś, o czym, choć może powinienem, bo to było ostatnie spotkanie z moim świeżo odkrytym dziadkiem. Przez uchylone okna docierały strzępy oficjalnych przemówień. Admirał, rektor, przewodniczący komitetu zdzierali sobie gardła ku chwale Żeglarza i lokalnej wspólnoty. Czas mijał, a ja siedziałem w knajpie i było mi tu coraz lepiej, coraz wygodniej.

Wreszcie peany na cześć fałszywego bohatera dobiegły końca. Orkiestra grała ostatni utwór i zaraz po nim miał nadejść czas mojego wystąpienia, które zmieni wszystko, które obróci w proch i pył te nieuprawnione pochwały, ten kabaret fałszu, to nadęte udawanie.

Ktoś szarpnął za właściwy sznurek i zasłona osunęła się z pomnika. Ukazała się rzeźba. Wszyscy wstali. Obok mnie Szmidt zdjął czapkę i patrzył na siebie samego, na siebie kamiennego tak, jakby patrzył na kogoś obcego, ale bliskiego jego sercu; ręce mu drżały. Ścichła orkiestra, ścichły bębny i salwy. Med szepnęła, przejęta: kapitan mój! Bezwiednie powtórzyłem za nią: kapitan mój...

Koledzy studenci upominali mnie, że już czas, że teraz ja miałbym przemówić. Spojrzałem na pomnik i powoli zdjąłem czarny beret. Zaraz po mnie ściągnęli swoje berety towarzysze mojej niedoszłej rebelii. Milczałem.

Nie wiem, czy to od tamtej chwili, czy też z innych powodów – do dziś najbardziej lubię milczeć. Pewnie jest to cnotą, kiedy historyk w swoich sprawach milczy, odzywając się tylko wtedy, kiedy opowia-

da sprawdzone fakty z życia innych. Ale jestem już tak stary, że prawie obcy samemu sobie. Dlatego pozwalam sobie na tę spowiedź, wsparty plecami o pomnik, którego nie powinno być.



ISBN 978-83-963109-0-3
Stowarzyszenie „Zegrzynek Szaniawskiego”
Legionowo, 2021



Druk wersji papierowej sfinansowano ze środków
Samorządu Województwa Mazowieckiego
w ramach projektu „Szaniawski – (na) skróty do Zegrzynka”



Partner projektu: Stowarzyszenie Autorów ZAIKS